WSZYSTKO BYŁO MOŻLIWE

„...W roku 1795 Rzeczpospolitą wymazano z map Europy. Kogo teraz winimy za doprowadzenie Kraju do zagłady, do bankructwa gospodarczego i militarnego? Chłopów, mieszczan czy szlachtę? Pan Wojna, który w Sierpniu odwoływał się do tej właśnie daty i przestrzegał nas - komu wydawał świadectwo: narodowi czy stanowi? Kierowca nawet za nieumyślne spowodowanie wypadku idzie w odosobnienie. A jaka odpowiedzialność poniosła Partia za wynik swojego działania?"

Te pytania zadawał w 1981 roku, na łamach "Solidarności Opolszczyzny" wiceprzewodniczący Regionu Opolskiego NSZZ SOLIDARNOŚĆ, Jarosław Chołodecki. W sześć lat później pytania pozostały te same, zmienił się adres Chołodeckiego. Od 1984 roku jest na emigracji w Chicago, gdzie kolejno studiował, pracował w prasie polonijnej, a ostatnio prowadzi lokalny, polski program radiowy.

Karol Blaszczyk powiedział mi o Chołodeckim: "To najwspanialszy człowiek, jakiego spotkałem w SOLIDARNOŚCI". To wiele, szczególnie w ustach Karola, tym bardziej że Jarek jest jeszcze w wieku stosownym w Polsce dla członków organizacji młodzieżowych (ur. w 1952) i w tym co robi, jak się zachowuje, a nawet nosi jest wciąż młodzieńczy zapał, wiara i energia. W kraju mówi się o takich "gorące głowy". Ja wole inne określenie, też autorstwa Błaszczyka: "Jarek działa z AK-owską fantazją".

Z lekko podwyższonym czołem, szczupłą twarzą okolona ciemnym, przyciętym zarostem, szybkimi ruchami i nerwową dykcją Chołodecki jest taki, jakimi zapamiętałem tysiące działaczy Związku, może być uosobieniem pokolenia SOLIDARNOŚCI. A dokładniej: tych aktywistów związku, którzy przedkładali działanie nad słowną fanfaronadę, a zmiany w Polsce zaczynali od własnego podwórka, choć patrzyli dalej. Jeśli nadużywane przez władze hasło "pracy organicznej" było przez kogoś właściwie rozumiane - to przez ludzi takich jak Chołodecki, gotowych do pracy organizacyjnej w każdych warunkach: podczas 16 pamiętnych miesięcy, w okresie stanu wojennego, a także na emigracji.

Jarka spotkałem właśnie przy takiej, organizacyjnej okazji, Jego upór i wyobraźnia sprawiły, że w styczniu 1987 roku do Chicago zjechało z całych Stanów Zjednoczonych kilkunastu działaczy SOLIDARNOŚCI, między innymi Andrzej Machalica,

Paweł Bakowski, Leszek Waliszewski. Kilkunastu kolegów z założonej przez Chołodeckiego Wspólnoty Rozproszonych Członków SOLIDARNOŚCI przygotowało dwudniowe spotkanie w gronie własnym i z kierownictwem Kongresu Polonii Amerykańskiej, który zresztą pomógł sfinansować ten zjazd.

Jarek był w swoim żywiole - witał, przemawiał, podsumowywał. Zastanawiałem się - kim byłby w Polsce, gdyby mógł w niej zostać? I jaka musiałaby być Polska, żeby tacy jak on mieli szanse rozwinąć w niej skrzydła?

Na razie Jarosław Chołodecki, ekonomista z wykształcenia (na Uniwersytecie Wrocławskim i na Northwestern University w Chicago**[dp University of Chicago]**, gdzie komputer dwa razy połknął mu prace dyplomową) a działacz i przywódca społeczny z temperamentu, pozostaje w regionie Illinois z żoną Krystyną, córką Małgosią (12) i synem Łukaszem (10).

- Jaka była Twoja droga do SOLIDARNOŚCI?

- Myślę, że zaczęła się w 1969 roku, kiedy wbrew zakazom rodziców odwiedziłem Prage w trzy miesiące po wyjeździe sowieckich wojsk. Mój przyjaciel, Honza, przedstawił mi miasto w którym jeszcze nie były zawieszone z powrotem tablice na ulicach. Zaprosił mnie do starej piwnicy, w której pije się dobre piwo i pokazał miejsca okupione krwią. Poszliśmy do Muzeum Geologicznego, które kosoocy ostrzelali z ciężkich karabinów maszynowych sądząc, że to parlament. Zaprowadził na przystanek, gdzie została zastrzelona jego koleżanka z pracy. My w stanie wojennym nosiliśmy oporniki albo znaczki SOLIDARNOŚC, oni przypinali sobie znaczki z flagą narodową i napisem "Chcemy neutralności". I ona za ten znaczek została zastrzelona.

Honza pokazał mi bezsens tej interwencji. Miałem wtedy siedemnaście lat, nie bardzo jeszcze wszystko rozumiałem, ale wrażenie to na mnie zrobiło ogromne.

Później, bardzo szybko, był w Polsce rok 1970 i ja nie potrafiłem nie zareagować na to, co działo się na Wybrzeżu. Byłem wiceprzewodniczącym Zrzeszenia Studentów Polskich na Akademii Ekonomicznej. Rektor wziął szefów organizacji młodzieżowych na krótką rozmowę, prosząc nas żebyśmy “nie dali się ponieść emocjom” ponieważ to, co dzieje się w Gdańsku, jest “bardzo lokalne i bardzo partykularne, jest jakaś grupa, o której za mało jeszcze wiemy i której chodzi o własne interesy".

A ja już miałem na tę noc przygotowaną wędrówkę po wszystkich akademikach z propozycją bojkotu zajęć na uczelni. Zostałem zakapowany, odbyła się następna wędrówka, rektora z szefem partii i to był koniec mojej kariery w ZSP, musiałem podać się do dymisji. Nie zostałem wyrzucony z uczelni, bo rektor poręczył za mnie. Był kierowcą rajdowym, brał mnie nieraz ze sobą, lubił mnie. Ale ja już wiedziałem, ze nie będę nigdy należał do partii, ze coś w moim życiu się stało, coś jest poza mną.

Po studiach pracowałem w Opolu, w. "Polmozbycie", w przedsiębiorstwie, co do którego nikt nie mógł mieć podejrzeń, ze może być rebelianckie, bo było skorumpowane do dna - łapówki, układy, Komitet Wojewódzki stale siedzący na karku. Jak w takiej firmie można było o czymkolwiek myśleć?

Byłem tam rzucany na różne funkcje, nie bardzo wiedzieli co ze mną zrobić, miałem dziwne pomysły. Zrobili mnie na przykład zastępcą kierownika największej stacji obsługi w Opolu i to był mój pierwszy kontakt z robotnikami, z mistrzami. Wtedy dostrzegłem, ze to są fantastyczni ludzie, zawiązały się przyjaźnie między nami. Bo to, że oni pili wódkę, czego ja nie robiłem, i że brali łapówki, czego ja też nie robiłem (bo nie miałem pewnie możliwości) , to była jedna sprawa, a druga - to że byli to naprawdę inteligentni ludzie, przytłoczeni pracą w nudnej firmie.

- Wódką i łapówkami zabijali nudę?

- Raczej swoje rozczarowanie wobec firmy, od której oczekiwali znacznie więcej. Dla inżynierów, a to w dużej mierze byli inżynierowie albo technicy, samochód był symbolem innego świata, z którym kontakt uszlachetniał. Oni mieli swoje prywatne pasje, niektórzy byli rajdowcami, inni narciarzami. Zresztą wydaje mi się, że ta przysłowiowa, bo widoczna dla każdego kto miał samochód, korupcja w "Polmozbycie" nie była większa niż w GS-ie, fabryce domów, czy gdziekolwiek indziej. W Polsce, niestety, każdy kto ma możliwości poprawia w ten sposób miesięczny budżet.

Kiedy przyszedł rok osiemdziesiąty, miałem rewizje. Może VB, które uważnie przypatrywało się naszej firmie, nie było zadowolone z moich kontaktów z młodą kadra robotniczo mistrzowską? A może to było echo tamtej sprawy z 1968 roku? Nie wiem. Wzięli mnie na przesłuchanie i pokazali długą listę przewinień. Byłem zaskoczony tak szczelną

obserwacją...

- Kiedy to było?

- W sierpniu. No i rzeczywiście, we wrześniu mistrzowie i robotnicy poszli za moim głosem. Zrobiliśmy związek w "Polmozbycie", weszliśmy do ogólnopolskiej organizacji "Polmozbytów". Pierwsze spotkanie z Wałęsą mieliśmy osiemnastego września, kiedy jeszcze nie było nazwy SOLIDARNOŚC, jako pierwsza grupa zawodowa. To było dla mnie coś bardzo ważnego.

- Kim wtedy byłeś? Nadal zastępcą kierownika stacji?

- Nie, pracowałem w dziale usług, bo mój kierownik odszedł, a następca mnie nie tolerował. No i zaczęliśmy ostra działać, próbowaliśmy zmieniać to, co najbardziej nas irytowało, czyli tę fatalną opinie o firmie. Podjęliśmy się opracowania programu reformy "Polmozbytu".

- Kto się podjął? Związek?

- Związek i samorząd robotniczy, który powołaliśmy wcześnie, bo na początku 1981 roku. Uważaliśmy, że naszym naczelnym zadaniem jest u normalnienie wszystkiego, co nas otacza. Uznaliśmy, że firma nie może pracować pod absurdalnym kierownictwem a dyrektor był, co tu dużo gadać, psychopata. Ze słabym człowiekiem nie wypadało nam jednak walczyć a centrala nie chciała go zwolnić. I to chyba spowodowało, że poszliśmy drogą zmian ewolucyjnych.

Zaczęliśmy od stworzenia programu oceny całej kadry kierowniczej, od mistrza po dyrektora. Robiliśmy to razem z dyrekcją, nawet chyba z partią. W ankiecie wzięła udział cała załoga, bardzo się to ludziom podobało, nareszcie mieli jakiś wpływ na to, co dzieje się w firmie.

- Zakwestionowaliście partyjną nomenklaturę, ale bez gwarancji że ci ludzie odejdą...

- Była komisja, która miała wyciągnąć wnioski z ankiety, czyli awansować i zwalniać. Oczywiście, dyrekcja nie chciała wykonać jej zaleceń, bo odchodzić mieli ludzie często jej najbliżsi, i ze zwalnianiem było bardzo źle, ale kilku osób udałe się nam pozbyć. I to było niezwykle ważne.

Później uznaliśmy, ze powinniśmy pójść dalej, powinniśmy zrobić coś z tą firmą, która często pracowała zupełnie wbrew

logice. No, na przykład: dlaczego klient musiał czekać pięć godzin na zrobienie bzdurnej naprawy? Dlatego, że robotnik trzy godziny z tych pięciu czekał w kolejkach do magazynów po różne części, narzędzia i podpisy. Zupełny obłęd! I to próbowaliśmy zmienić, dać maksymalne uprawnienia mistrzom, którzy byliby odpowiedzialni za dziesięciu mechaników i dostarczali im wszystkiego, żeby oni nie stali w kolejkach.

- To było możliwe?

- W tym czasie wszystko było możliwe. Zrobiliśmy książkę na ten temat, została rozesłana do wszystkich "Polmozbytów" w kraju, jako propozycja usprawnienia ich pracy. Proponowaliśmy w niej rzeczy, które wydawały się zupełnie nierealne. Na przykład chcieliśmy, żeby firma miała pięć "maluchów," które będą dawane ludziom przyjeżdżającym z samochodami na gwarancji. Te samochody stały u nas z braku części miesiącami, dla klientów to była tragedia, a dla nas kłopot, bo płaciliśmy kary za przetrzymywanie samochodu. Łatwiej i taniej było zrobić wypożyczalnie.

Trzeba powiedzieć, ze "Polmozbyt" był typowym dzieckiem lat siedemdziesiątych. Jego ślicznie pomalowane na biało niebiesko stacje rozsiane zostały wzdłuż głównych dróg po to, żeby turysta zagraniczny widział jaki jest rozmach polskiej motoryzacji. Typowa gierkowska potiomkowszczyzna, ale z drugiej strony, jak się jej bliżej przyjrzało, to okazywało się, że stacje były zupełnie sensownie zaprojektowane, że miały dobry park maszynowy, tylko to wszystko razem nie działało, bo firma była cały czas pod ogromną presją centrali. Czapka warszawska zmuszała nieustannie do produkowania najrozmaitszych sprawozdań i robienia idiotycznych planów. Robienie planów było ważniejsze od reperowania samochodów!

I dlatego uznaliśmy, że firma tak straszliwie krępowana i najeżdżana przez urzędników prowadzących kontrole, dalej nie maże tak działać.

- Co udało się warn osiągnąć?

Z1ikwidowanie centrali. W czerwcu 1981 roku zostałem wybrany szefem Rady Nadzorczej Organizacji "Polmozbyt". W jej prezydium było trzech dyrektorów "Polmozbytów", szef rady pracowniczej przedsiębiorstwa rzeszowskiego i ja, z Opola. Akt wystąpienia z centrali i powołania nowego ciała, zrzeszającego "Polmozbyty", podpisali dyrektorzy wszystkich

przedsiębiorstwz wyjątkiem warszawskiego, które było najbardziej uzależnione od Białego Domu.

- Doprowadziliście więc do rzeczy niesłychanej: do wprowadzenia rzeczywistej reformy gospodarczej w 1981 roku, kiedy wciąż trwały o niej jedynie dyskusje.

Tak. Udowodniliśmy, że dyrektor przedsiębiorstwa jest niezależny, że "w imieniu społeczeństwa zarządza ludźmi i mieniem, które mu przez to społeczeństwo zostało powierzone." Pamiętam rozmowę z Szalajdą,wtedy ministrem przemysłu maszynowego, kiedy razem z dyrektorem centrali, Ziarkowskim, siedzieliśmy u niego w gronie prezydium Rady Nadzorczej. Ziarkowski przedstawił nag Szalajdzie jakie nowe władze "Polmozbytu", a o sobie i centrali miał do powiedzenia tyle, ze znaleźli się w "trudnej sytuacji".

- Jak zareagował Szalajda?

- Szalajde to zmroziło, bo zdał sobie sprawę, że możliwe są fakty dokonane, wobec których nie ma nic do powiedzenia. Przecież to było załatwione mięciuchno, żadnych strajków, przyjecha1y do niego strony, które go informowały o pewnym fakcie. Była to taka rewolucja, o której marze. Szalajda był tym niewątpliwie zbulwersowany, ponieważ w większej skali taki proces mógł spowodować odcięcie ministerialnych kanałów sterowania. Dopóki istniała centrala on miał faceta, do którego dzwonił, a teraz przestawał go mieć, rada była ciałem zbiorowym, od niego niezależnym. Tracił przedsiębiorstwo zatrudniające trzydzieści siedem tysięcy ludzi, rozsiane po całym kraju! To ich przerażało.

Brałem później udział w spotkaniu zorganizowanym przezdyrekcje centrali "Polmozbyt" i tamtejszą "Solidarność", gdzie zastanawiano się co zrobić z 350 ludźmi, którzy tam pracowali. Oni mieli swoje plany, chcieli się zmodyfikować, stać się instytutem projektowo-badawczym, zarabiać na siebie jako placówka usługowa dla przedsiębiorstw. Oferowali swoje ekspertyzy, chcieli być naszymi przedstawicielami w Warszawie. Oczywiście, musieliby znacznie zredukować pewne działy, na przykład ogromny dział personalny, ale działy handlowe, techniczne mogli utrzymać. Tam byli dobrzy inżynierowie, zarobiliby na siebie.

- Co stało się z Organizacją "Polmozbyt" po wejściu w życie reformy gospodarczej?

- Po 13 grudnia 1981 roku została natychmiast rozwiązana a centrala wróciła do swoich poprzednich, biurokratycznych zadań.

W Opolu naszym wielkim przedsięwzięciem przed 13 grudnia było wejście w posiadanie pałacu. Jak pamiętasz, zima 1981 roku wywalczywszy wolnesoboty,i jednym z głównych argumentów strony rządowej było pytanie: "I co teraz ta swołocz zrobi, będzie w soboty chlała wódę na okrągło".

A na Śląsku niszczały cudowne zabytki, było mnóstwo bezpańskich budowli. Znaleźliśmy pałacyk w Mikolinie nad Odrą, pięknie położony w dużym kilkuhektarowym parku, ze stawkiem i kapliczką. Ten rokokowy pałacyk z siedemnastego wieku należał kiedyś do Lanckorońskich, co świadczyło, że tak długo polska rodzina utrzymała się na Śląsku.

- Jak go przejęliście?

- Wojewoda się kiedyś wygadał, ze przejmowanie obiektów, które są niczyje powinno być oczywiste, jeżeli tylko przedstawi się program ich zagospodarowania. A ponieważ było to na publicznie, w dwa tygodnie później musiał podpisać akt przekazania SOLIDARNOŚCI "Polmozbytu" Mikolina, za który zapłaciliśmy trzynaście tysięcy.

Ten pałac był niezwykle ważny, ponieważ zmusił ludzi do intensywnego myślenia, do adoptowania się do nowych warunków. Zmiany, które wtedy mieliśmy w kraju były, co tu dużo gadać, rewolucyjne, chociaż przeprowadzane w sposób ewolucyjny. Wolne soboty to też była rewolucja, zmiana sposobu życia. A z drugiej strony była też zmiana, poczucie odpowiedzialności za firmę, w której pracujesz. Przestałeś być w niej poganianym pionkiem, czułeś, że jesteś w stanie coś dać i coś wziąć.

Pałac był doskonałym sposobem na ogólną dyskusje na ten temat. Ludzie pisali listy, odbywały się narady we wszystkich zakładach, bo przecież mieliśmy czternaście stacji obsługi, ponad dwadzieścia sklepów. I ludzi to podniecało, że taki kawał substancji trwałej należy absolutnie do nich, że oni się mogą wypowiadać jak to zagospodarować, jak z tego korzystać.

- Oczywiście, nic z tego nie wyszło...

- Mieliśmy pałac w ręku przez cztery miesiące, więc zgromadziliśmy dokumentacje na remont obiektu zabytkowego, znaleźliśmy wykonawce, zwieźliśmy trochę materiałów. W następnym sezonie część pałacu byłaby już do użytku. W stanie wojennym, kiedy wyszedłem z wiezienia, jeszcze wisiała tam tablica "Własność Komisji Zakładowej NSZZ SOLIDARNOŚĆ PP Polmozbyt w Opolu", ale kiedy wróciłem po dwóch dniach z kolegą z Warszawy, żeby mu ją pokazać, znaleźliśmy tablice połamaną na drobniutkie kawałeczki. Ktoś musiał zrobić to służbowo.

- Co teraz dzieje się z Mikolinem?

Niszczeje dalej. Jakby ktoś miał ochotę sprawdzić, to Mikolin leży obok słynnego miejsca bitwy sowiecko-niemieckiej i przejścia przez Odre, gdzie zginęło 36 tysięcy Rosjan, bo Stalin wydał rozkaz, żeby forsować rzekę właśnie tam gdzie radzieckie czołgi tonęły w bagnie, a Niemcy byli okopani na wysokim, zachodnim brzegu Odry. Ten pałacyk cudem ocalał, żaden szrapnel go nie rozwalił, dopiero władza ludowa dala mu rade.

- Jak wyglądał twój 13 grudnia?

- Mieliśmy stan gotowości strajkowej, szef był na krajowce, ja odpowiadałem za region. O dziesiątej wieczorem dostałem wiadomość, że teściowa wróciła z RFNu. Nawet nie wiedziałem, że wyjeżdżała, okazało się, że zmarł jeden z wujków. Nawet miałem jeszcze wrócić do regionu, ale na stole był jakiś koniak, a nie chciałem prowadzić po kieliszku. Za dziesięć dwunasta załomotali do drzwi pod pretekstem, że jest sprawa, którą muszę wyjaśnić na komendzie i że jutro będę w domu. Nie chciałem robić burdy, chociaż początkowo upierałem się, że do szóstej rano nie mają prawa mnie brać, ale oni zaczęli od włożenia łomu w drzwi. Tyle, ze wziąłem najcieplejsze buty i kalesony.

- Przydały się, bo do domu wróciłeś prawie rok później.

- Tak, z tym ze przedtem wyszedłem na krótko z pierdla. Mieszkałem przez pół roku w jednej celi z człowiekiem bardzo różnym od mnie, ale polubiliśmy się. Wyszedł wcześniej, przyjechał do mnie w odwiedziny w Bieszczady, i tak jakoś wpadliśmy na pomysł, ze może warto by wyjść? Żona też była, ładnie wyglądała... Zamieniłem się z nim na marynarki, chociaż rękawy były za krótkie i wyszedłem do bramy. Strażnik wyczytał: Szubert do wyjścia!, ja się zgłosiłem,

odebrałem jego dowód osobisty i wyszedłem, a Szubert został odprowadzony do mojej celi.
Pojechaliśmy z żoną na długi, sobotni weekend, a w niedziele przyjechałem pod bramę wiezienia i poprosiłem o widzenie z Chołodeckim. Oni mieli taką politykę, że jeśli ktoś przyjeżdżał z daleka, a z Opola do Uherc to jest kawał drogi, to dawali dwa widzenia, dzień po dniu. I wymieniłem się.

Więzienie szalało z radości, to był nasz wielki sukces, bo Szuberta trzeba było ukryć, trzeba było go wyprowadzić, sporo osób było w to zamieszanych. Oczywiście, ubecy się o tym dowiedzieli i jak mnie później zamykali, już po wypuszczeniu, na 48 godzin, to ten numer i spotkanie w Otmuchowie irytowało ich najbardziej.

- Spotkanie w Otmuchowie, czyli zjazd internowanych?

- Tak. Daliśmy sobie z jednym z kolegów z pierdla słowo, że pierwszą rzeczą, jaką zrobimy po wyjściu, będzie ożenek. Nie mieliśmy ślubów kościelnych, on był taki sam ateusz jak ja. A to była wspaniała okazja do spotkania z tą całą bandą z ludźmi którzy przeszli przez różne pierdle, z którymi stykaliśmy się tylko przelotnie. I rzeczywiście, jak się już spotkaliśmy w tym zamku, to okazało się, że jesteśmy z prawie wszystkich więzień w Polsce.

- Ale. zanim do tego doszło, trzeba było to zorganizować. Pretekstem było wesele...

- Tak, wesele, na które zaprosiliśmy wszystkich internatowiczów, żeby pogadać, bo byliśmy już miesiąc na wolności i nic się nie działo. Wpierw rozesłaliśmy wici do ludzi, ze coś takiego się szykuje, żeby byli gotowi przyjechać jak tylko będzie sygnał. Dalej była kwestia wyboru miejsca. Zdecydowaliśmy się na Otmuchów, bo jest to ośrodek wczasowy FWP, czyli z zapleczem gastronomicznym i miejscami do spania. A poza tym jest to forteca, a nie jakiś hotel, przed który może milicyjna suka zajechać i obsikać go ze wszystkich stron. W Otmuchowie są fosy, są mury, można się barykadować i bronić.

Otmuchów jest legendarnym miasteczkiem na Opolszczyźnie i to tez chcieliśmy podkreślić. Tam mieszkał ksiądz Nowak, uczeń księdza Blachnickiego, który oddziaływał na lokalną społeczność w sposób niezwykły. Zorganizował Ruch "Światło i Zycie", stworzył kilka Oaz, uczęszczanych przez ludzi z

całego kraju. Był organizatorem związku rolników indywidualnych na Opolszczyźnie, później był niezwykle aktywny w okresie stanu wojennego. Teraz jest w RFNie, musiał ociekać, co jest dość nietypowe jak na księdza. Miał ogromny autorytet moralny, wszyscy się go słuchali, więc jak zadzwonił do pani kierowniczki domu wczasowego, że grupa pielgrzymów będzie chciała skorzystać z zamku, to był dla niej rozkaz, chociaż była wierna partyjna.

- Ilu zjechało brodatych pątników?

- Setka, tyle ile było miejsc na zamku. Obok jest kościół, tam wzięliśmy ślub. Ksiądz Nowak miał satysfakcje zobaczenia byłych internowanych z całego kraju- bo byli i warszawiacy, i gdańszczanie, i ludzie z Olsztyna, mnóstwo z Krakowa, z Wrocławia... To było dwudziestego piątego stycznia 1982 roku. Panie z FWP zorientowały się, kto przyjechał, bo okleiliśmy od razu sale plakatami SOLIDARNOŚCI, ale one też cudownie się czuły, uczestniczyły w tym wszystkim, nie zakapowały. Drzwi zostały szczelnie zaryglowane i jedyna rzecz, o której później wiedziała ubecja to to, ze zeszliśmy do sali kominkowej na jakieś tajne narady.

- Jak długo trwał zjazd weselny?

- Od przedpołudnia w sobotę do południa w niedziele. To się udało, bo było precyzyjnie przygotowane. Żaden z uczestników, poza organizatorami (nawet drugi pan młody), nie wiedział gdzie naprawdę będzie ślub. Na zaproszeniach podany był adres kościoła w Nysie, a tam stały samochody i przewoziływszystkichosiemnaście kilometrów dalej, w kierunku nieznanym policji. Oni się o wszystkim dowiedzieli w dwa dni później, chcieli natychmiast zwolnic kierowniczkę, jako współudziałowca. Kierowniczka chciała z kolei nam wytoczyć sprawę sądową, wpierw za wprowadzenie w błąd, a później za rzekome zniszczenia (ktoś gdzieś zgasił niedopałek o stół), ale jakoś się to rozeszło po kościach i nawet nie wiem, czy ją ostatecznie wyrzucili.

Opolska ubecja przeżyła to ciężko, oni mi to zresztą powiedzieli: panie, jak robicie takie coś, to róbcie to w wałbrzyskim, albo w katowickim, ale odp... się od nas!

- Było pięknie i wesoło, ale przedtem spędziłeś długie miesiące internowania w areszcie śledczym w Opolu, w więzieniu w Nysie, w Grodkowie i w Uhercach. Wiem, że zorganizowałeś tam więzienny uniwersytet...

Byłem organizatorem Wszechnicy Robotniczej w Opolu, w okresie SOLIDARNOŚCI. Wszechnica okazała się niezwykle ważna dla tego regionu, gdzie poza braćmi Kowalczykami nie było żadnych tradycji opozycyjnych. Zjechali do nas i Kuron, i Modzelewski, i Bugaj, i Korwin-Mikke, różni ludzie - szaleńcy, mądrale, nawiedzeni. Było to niesamowite doświadczenie dla tych, którzy chcieli się zorientować jak wygląda polska myśl polityczna. Spora grupa działaczy związkowych była stałymi słuchaczami wszechnicy i to nam wiele pomogło w krystalizowaniu postaw.

Dlatego wydawało mi się, ze wiezienie jest doskonałym miejscem na samokształcenie. Pomógł mi Adam Plesnar, stary więzień komuny, założyciel Związku Wolnych Demokratów, który w ogóle nie był w SOLIDARNOŚCI, bo uznał że nie może młodej organizacji obciążać swoją "partyjną" przeszłością. On był zachwycony internowaniem, uważał ze to niezwykła szansa poznania wspaniałych ludzi, szansa która zdarza się po raz pierwszy w jego życiu. Mówił: "Wojna długa, wojna trudna, żołnierz musi umieć tę wojnę przetrwać. Jedyne, co możemy zrobić tutaj, to podnieść naszą sprawność bojową, czyli sprawność intelektualną."

Ale nie była to tylko czysta, intelektualna wiedza, bo uczyliśmy także drukowania. Każdy student uniwersytetu więziennego musiał przejść lekcje druku, od przygotowania farby przez przygotowanie matryc, drukowanie i składanie.

- Kursy druku w więzieniu? Klawisze o tym nie wiedzieli?

- Oczywiście, że wiedzieli. Robili naloty, kipisze, atanda przychodziła. Strasznie ich to mobilizowało, ale nas też. I wydawaliśmy co tydzień 200 egzemplarzy gazety więziennej, KRETa, z czego średnio jedna trzecia wpadała, a dwie trzecie docierało poza wiezienie, prawie do wszystkich regionów w kraju. Jest nawet tutaj, w Ameryce, na Harvardzie. Nie była to gazeta informacyjna, raczej medytowaliśmy w niej nad rozmaitymi problemami, które stawia życie. Na przykład: jak zorganizować niezależną oświatę czy niezależną poligrafie.

Uniwersytet zaczęliśmy w Nysie wykładami na różne tematy. Każdy mówił, co chciał. To było negatywne doświadczenie, dlatego ze oprócz ciekawych ludzi, którzy potrafili coś powiedzieć, często była chała, która nie interesowała słuchaczy.

W Grodkowie, gdzie już zjechali internatowicze z całej południowo-zachodniej Polski, było więcej ludzi do słuchania i do wykładania. Stworzyliśmy tam radę więzienną, po to żeby zawrzeć znajomość z kolegami z rożnych regionów. Liczyliśmy, że przecież kiedyś z tego więzienia wyjdziemy, więc warto było poznać chociażby przywódców. Spiritus movens tej rady był docent Jerzy..., niech będzie Jerzy, z Uniwersytetu Wrocławskiego, który przyjechał do Grodkowa z poleceniami wrocławskiego RKSu, żeby ludzie się poznali, wymieniali adresy, bo to w podziemiu było szalenie potrzebne. Oni we Wrocławiu już ostro działali w tym czasie i mieli problem z kontaktami z innymi regionami.

W Uhercach, gdzie już nie było Jerzego i połowy tamtych ludzi, stworzyliśmy podobną radę. Szefem był Leszek Waliszewski, ja podjąłem się zorganizowania Uniwersytetu. I przez pół roku byłem "rektorem" wolnej Wszechnicy Więziennej z indeksami, wykazem zajęć, codzienna rutyna przychodzenia na nie. Dziekanem był Andrzej Zahorski, niezwykle sprawny, kochał dyscyplinę, to było bardzo ważne. Każdy wykładowca musiał przedstawić dzień wcześniej koncept swojego wystąpienia i każdy słuchacz dostawał przed wykładem jego kopie do ręki.

- To lepiej niż na państwowym uniwersytecie...

- Też tak myślę. Rano, o dziewiątej, była gimnastyka, którą prowadził Waliszewski, potem trzy godziny wykładów z rożnych dziedzin, obiad, a po południu - czas na dyskusje, na prezentowanie rożnych opinii i pomysłów. Na przykład na temat etyki więziennej, albo *w* jaki sposób zorganizować niezależną gospodarkę. To był temat na cały tydzień.

- Ilu studentów miał Jego Magnificencja?

- Studiowała ponad połowa całego pierdla, czyli około czterdziestu osób. Prawo cywilne i karne omawiał doskonale wiceprokurator wojewódzki z Olsztyna, Stefan Sniezko, Andrzej Rozplochowski mówił o związkach zawodowych *we Włoszech*, Michał Masior, główny inspektor pracy Komisji Krajowej SOLIDARNOŚCI, prowadził kurs ochrony pracy. Ja miałem zajęcia z organizacji i zarządzania, Jozek Ruszar mówił o niezależnym życiu kulturalnym, Jan Tomasz Lipski o socjologii, Alek Rusiecki o wolnej gospodarce. Co tydzień była "Rada Pedagogiczna", na której ustalaliśmy co nam nie wyszło *w* poprzednim tygodniu i co zrobimy *w następnym.*

- Jak to wszystko było możliwe?

Wiesz, więzienie może strasznie demoralizować, a może i uczyć. Z początku było rzeczywiście źle, niektórzy ludzie mieli poczucie dziejowej omyłki, w wyniku której znaleźli się za kratami i zajęli się głownie zabijaniem czasu. To był ich główny cel i problem. Grali *w* bilard, w ping-ponga oraz pakowali się do wyjścia. Nie czytali żadnej książki, bo "nie mogli się skoncentrować."

W drugiej fazie siedzenia, czyli po lipcu 1982 roku, kiedy przekonaliśmy się, że to potrwa dłużej, nie trzeba było już ludzi przekonywać, żeby robili coś sensownego. Doszli do tego wniosku sarni, nie poprzez perswazje, nie przez kazania księdza, chociaż ksiądz nam pomagał, mobilizował ludzi w kazaniach. Szczególnie w Nysie mieliśmy cudownego księdza, Józefa Sztonyka, który był bardziej internowany niż my, bo wpierw siedział *w* więzieniu z nami, a potem musiał nasze rodziny pocieszać. Na plebanii był dom noclegowy, *w sobotę* i niedziele na wszystkich podłogach ludzie spali pokotem.

I dlatego od lipca Wszechnica ruszyła naprawdę. Wiesz, *w* więzieniu nie przechodzi żadna lipa. Więzienie to takie miejsce, gdzie ludzie ocierają się o siebie codziennie, i jeżeli raz spróbujesz z kogoś zrobić balona, to nie jest tak jak w normalnym życiu, ze się schowasz. Więzienie absolutnie nie znosi blagi, tam trzeba być szalenie na serio. Bardzo tam spoważniałem. Można się śmiać, można robić wygłupy, ale one muszą być serio.

Na przykład założyliśmy herbaciarnie "Ziemiańską" z dopiskiem na dole "Psom i komunistom wstęp wzbroniony". Klawiszy, którzy przechodzili, szlag trafiał, bo to był duży napis, zrobiony przez naszego plastyka. I miał być jakiś program tej kawiarni, miało się tam fajnie gadać, miała być herbata. Przez kilka wieczorów było dobrze, ale potem trzeba było herbaciarnie zamknąć, bo nie było pomysłu co dalej.

Na koniec Wszechnicy odbyła się gra kierownicza, w której trzeba było wybrać komisje zakładową, przedstawić jej program, rozwiązywać problemy, negocjować z dyrekcją.

- Jak to wyszlo?

- Świetnie. Ludzie przekonali się, ze trzeba działać trochę inaczej. Kiedy przewodniczący komisji zakładowej kopalni podczas gry dyskutował z dyrektorem, to nie używał już

takich argumentów, jak przed półtora rokiem, kiedy naprawdę z nim negocjował. Zszedł z poziomu “twardo do nikąd” na "elastycznie, ale do celu".

W tym dniu zdecydowaliśmy się też na wyróżnienie “Tygodnika Powszechnego” oraz kilku osób, między innymi Jana Józefa Lipskiego, tytułami doktora honoris causa Wolnej Wszechnicy Więziennej w Uhercach. Mieliśmy z tym straszne problemy: czy mamy prawo, czy oni nie uznają, ze sobie z nich kpimy, bo to jest poważna instytucja, a tu jacyś pierdlowicze podszywają się pod uniwersytet. A okazało się, że nie, że to było bardzo dobrze przyjęte, bo oni sami mieli wcześniej obawy czy powinni byli wznawiać “Tygodnik” w czasie wojny, czy społeczeństwo nie odbierze tego jako kapitulanctwo.

– Kiedy zdecydowałeś się na wyjazd z Polski? I dlaczego?

- W październiku 1983 roku, czyli prawie w dziesięć miesięcy po wyjściu. Dlaczego? To była suma doświadczeń tych miesięcy, możliwości zrobienia czegoś... Bo wyszedłem przecież taki naładowany, ze trzeba coś sensownego robić. I okazało się, że dużo łatwiej znajdowałem swoje miejsce w więzieniu niż w rzeczywistości.

Wyjście na miesiąc przed opuszczeniem więzienia, na zamianę, wiele mi dało. Popatrzyłem na świat po jedenastu miesiącach więzienia, na te restauracje, gdzie ludzie są normalni, piją piwo, uśmiechają się, a my tam cały czas patriotyczne piosenki śpiewamy i tacy jesteśmy napompowani, przekonani, ze nic się nie zmieniło, że jest tak samo. To znaczy, ja nie miałem złudzeń, że jest tak samo... A może je miałem ? Może tylko probowałem sobie je przez cały czas wyperswadować? Jak mnie wypuścili do domu, to czekając na pociąg w Krosnie trafiłem do jakiegoś baru. Wszyscy byli pijani, jakiś klient chwycił mnie za brodę i mówił, ze mnie kocha... Takie narodowe wesele, chocholi taniec. To tez zapamiętałem.

Te dziesięć miesięcy po internowaniu to było intensywne poszukiwanie swojego miejsca. Zdawałem sobie sprawę, że muszę być samowystarczalny ekonomicznie, że nie ma sensu chodzić do kościoła i prosie o parę groszy, żeby przeżyć. Nasza siła jest również nasza niezależność ekonomiczna.

- W “Polmozbycie” Nie miałeś czego szukać?

- W “Polmozbycie” dał i mi stanowisko “młodszej księgowej”.

Tak mówiłem, bo w historii tej firmy nigdy nie było na nim mężczyzny. Moim zadaniem było robienie linii na papierze, to było coś koszmarnego. Źle się czuły kobiety, z którymi siedziałem, źle się czuł mój bezpośredni przełożony, główny księgowy, który mnie prosił: “Niech się pan zwolni, bo to jest upokarzające.”

Poszedłem do dyrektora i powiedziałem, że chcęmyć samochody. Oczywiście, władza już zmieniła naczelnego, nastał niejaki Mizerny - typ, który przed stanem wojennym wylatywał ze wszystkich stanowisk, stawiany przez partie tam gdzie się paliło, a on jeszcze ognia dorzucał. Towarzysz od brydża i gorzałki pierwszego sekretarza komitetu wojewódzkiego partii.

I ten Mizerny mówi mi:- O, nie, panie Chołodecki, do mycia samochodów to pan nie ma kwalifikacji. Pan jest ekonomistą, my takich ludzi potrzebujemy, a myć samochody to może każdy. A poza tym pan tam by robił za cierpiętnika, a my cierpiętników nie chcemy.

I tak pożegnałem się z moim "Polmozbytem", z którego mnie ostatecznie wypieprzono, bo chyba bali się mojego wpływu na załogę. Chciałem nawet się sądzić, ale machnąłem ręką, bo walka o absurdalną prace młodszej księgowej nie miała żadnego sensu.

Później próbowałem albo przyjąć się do jakiejś firmy prywatnej, albo sam założyć własny biznes. I okazało się, że jest to niemożliwe, ze dużo łatwiej jest założyć uniwersytet w więzieniu niż wykonywać jakieś ruchy na wolności. Najbardziej tłumiło mnie to, że jak długo byłem w środowisku moich brodatych “kryminalistów”, to nie było problemu, jechaliśmy na jednym wózku, ale jak tylko wszedłem wśród innych, to natychmiast był smród. Ludzi, którzy bardzo dobrze mi życzyli, byli gotowi do współdziałania, pożyczali pieniądze, byli gotowi zatrudnić mnie w swoich firmach spotykało za to potworne uderzenie ze strony policji.

Siałem wokół siebie zniszczenie. Zacząłem sam robić gipsowe figurki naszych mężów stanu - Piłsudskiego, Wałęsy, kogoś jeszcze, ale to tez nie szło, bo trzeba było je rozprowadzać tylko we własnym gronie.

I doszło do tego, ze nie mieliśmy za co żyć, bo zonie, nauczycielce w szkole średniej, zabrano wpierw pól etatu, a później dano do zrozumienia, że w następnym roku jej

przedmiot w ogóle nie będzie potrzebny. Żona w Opolu bardzo źle się czuła. To jest przecież małe miasteczko, ściśle penetrowane przez ubecje. Te ich ewidentne wizyty pod naszą nieobecność w mieszkaniu, to zabieranie mnie na czterdzieści osiem, to moje znikanie kiedy dostawałem cynk, ze przyjdą... Na pierwszego maja wyjechałem daleko, dwieście kilometrów od Opola, do rodziców. Sądziłem, że tam już nie przyjdą. Gdzie tam! Przyjechali, i to Mercedesem komendanta wojewódzkiego Urantowki, zapudłowali mnie. Ja już sobie z nich kpiłem: "Panowie, czy to nie jest śmieszne, że was czterech w takim świetnym aucie spędza cały dzień na poszukiwaniu mnie tak daleko od domu?"

Ostatnią rewizje zrobili nam na dwa tygodnie przed wyjazdem, kiedy wiadomo już było, ze mam paszport w reku. Jeszcze wtedy mnie na czterdzieści osiem wsadzili.

Nie powiem, ze przymierałem głodem, ale sytuacja utrzymanka na łaskawym chlebie u dobrych ludzi wychodziła mi gardłem, nie mogłem go już dłużej przełykać. Takie inwalidztwo za aktywnego życia. Czułem, że dziewięćdziesiąt procent swojej aktywności zużywam na oganianie się, że nie idę do przodu. Nie mogłem tego zdzierżyć i chociaż byłem wielkim przeciwnikiem wyjazdu, perswadowałem to ludziom jak mogłem to wreszcie sam wyjechałem.

- Wielu was wyjechało z Opolszczyzny...

- Tak. Kiedy zaczęła się uszczuplać ta gromada przyjaciół, ludzi do których można było wstąpić w środku nocy, kiedy wyjechał Staszek Jałowiecki, mój przewodniczący, to było ciężkie dla mnie.

Może tak teraz się tłumaczę, ale naprawdę pojechałem do Warszawy, do ambasady amerykańskiej, żeby spytać jak długo jeszcze będzie aktualny program emigracji politycznej. Chciałem zabezpieczyć sobie tyły. Pani w okienku powiedziała, że ona na takie pytanie nie odpowiada, jeżeli mam ochotę, to mogę wziąć formularz. Wziąłem, to było w październiku 1983 roku, a w grudniu już mnie nie było w kraju.

- Przyjechałeś do Chicago w grudniu 1983 roku - i co ...?

- Jak wszyscy - byłem na "socjalu" i mogłem albo szukać pracy, albo się uczyć. Wybrałem to drugie, najpierw przez

rok w szkole językowej, bo nie byłem w stanie pójść na studia z moim "basic" angielskim, a w drugim roku studiowałem stosunki międzynarodowe (international relations) w University of Chicago.

- Dlaczego nie business school? To byłoby bliższe twojemu wykształceniu w Polsce...

-Business to jest rynkowy zawód i nie udałoby mi się dostać bez zapłacenia częsnego. Tak samo jak na studiach medycznych czy prawniczych.

- Skończyłeś studia?

- Prawie, mam jeszcze do napisania prace. Zeszłego lata trafiła się praca, w DZIENNIKU ZWIAZKOWYM, wziąłem, bo nie było pieniędzy, i zostałem na stałe. Wydawało mi się, że to będzie rodzaj part-time, bo zaczyna sie wczesnie, o piatej, ale za to konczy o pierwszej. Ale tempo jest tak ogromne, ze o pierwszej człowiek juz na niewiele rzeczy ma ochote. Przez dwie godziny trzeba przeczytać poranne, amerykańskie gazety i napisać wszystko, co ważne. To jest niesłychanie wyczerpujące. A poza tym przez cały czas wieczorami sprzątaliśmy, u ludzi, później w fabryce. Teraz z tym skończyliśmy, ale z kolei bardzo się nam sytuacja ekonomiczna pogorszyła, tym bardziej że kupiliśmy dom w Willow Springs, dobrej dzielnicy, żeby dzieci chodziły do przyzwoitej szkoły i miały towarzystwo.

Uważam, że każdy z nas powinien jak najlepiej wykorzystywać umiejętności, które nabył w kraju. Irytujące jest, że mnóstwo ludzi z najnowszej emigracji, którzy przyjechali tutaj z dobrymi zawodami, musi się podpierać miotłą, jake jedynym narzędziem dostarczającym środków do życia. To jest nierozsądne, bo umiemy więcej, ale nie potrafimy tego sprzedać. Dlaczego? Kwestia języka i znajomości, brakuje nam brakuje jednego i drugiego.

Dlatego ja sobie wymyśliłem, że skoro siedzę w tych samochodach od tylu lat, skoro kierowałem stacją obsługi i musiałem być nie głupszy od mistrza i mechanika, żeby się ze mnie nie smiali, skoro uczestniczyłem w tylu smutnych naradach na temat regenerowania wałów, to twierdzę że i tutaj znam się na samochodach. Przecież ja trzy razy wyjeżdzałem na Zachód, żeby kupic sobie samochód, mój ostatni zakup był, uważam, genialny: Renault 12, do którego miałem części za złotówki. Był taki okres, kiedy Rumunia odmówiła nam sprzedaży części do Dacii, więc kupowaliśmy je

we Francji i ja miałem je taniej od części do Fiata 125p. Założyłem tu firme, która pomaga Polakom, szczególnie tym, którzy dotychczas nie mieli do czynienia z kupnem samochodu, w nabyciu auta. To jest gangsterski rynek, dealerzy samochodowi mają dziwne powiązania i słyną z brawury w wykorzystywaniu klientów. Bardzo często najnowsi imigranci padają ich ofiarą, a ja mogę im pomóc, żeby za wóz używany nie zapłacili trzy tysiące dolarów, ale dwa czy połtora. To jest możliwe.

- Jak doszło do pierwszego zjazdu działaczy SOLIDARNOSCI na emigracji w Chicago w styczniu 1987 roku? Byłeś jego organizatorem.

- Nie ja sam, grupa ludzi z Chicago. To wynikneło z naszych doświadczeń tutaj. W Chicago są siedziby wszystkich głównych organizacji polonijnych i tu się uprawia polonijną polityke. Tu też dochodzi do wszystkich konfliktów między amerykańskimi Polakami. I te konflikty nas troche gorszyły.

- O jakich konfliktach mówisz?

- Pozornie o politycznych, mających wynikać z różnego pojmowania roli Polonii w rozstrzyganiu sprawy polskiej, natomiast w rzeczywistości - o konfliktach ambicjonalnych: kto jest w stanie zwołać więcej ludzi na manifestacje, kto pierwszy wysunie jakieś hasła. My, czyli emigracja solidarnościowa, byliśmy utożsamiani przez starą polonie z ludzmi, którzy przyjechali tutaj po to, żeby ich rozwalić. Byliśmy identyfikowani z grupami, które z góry zakładały że "starzy" są zdrajcami. Mazewski kilka razy to powtarzał, że "młodzi" robią tu antypolską robote.

- Skąd epitet "zdrajców" wobec starej Polonii? Bo jeździ do kraju? Bo była za zniesieniem sankcji?

- Nie. Chodzi o rozbijanie Polonii. Widzisz, tu mit jedności Polonii jest bardzo żywy, istnieje przekonanie, że nasz głos może być słuchany w Waszyngtonie tylko jeżeli jest to jeden, wspólny i zgodny głos. Jeśli takiego nie ma, Waszyngton odsuwa sprawe, bo nie bardzo wie kogo słuchać.

Taka sytuacja byla zresztą nie tylko w Chicago, ale i w innych regionach Stanów Zjednoczonych. Potwierdziły to rozmowy na naszym zjeździe. Trzeba więc było doprowadzić do stwierdzenia kim jesteśmy, z kim chcemy zawierać sojusze, jakie jest nasze zdanie w sprawie polskiej.

- Jak liczna jest emigracja solidarnościowa?

- Tysiąc, może półtora tysiąca rodzin w Stanach. Nikt nie wie dokładnie.Oczywiście, wobec wielomilionowej masy polonijnej to jest maleńko, ale ta masa polonijna straciła swoich naturalnych przywódców. Oni sami mówią, że ci ludzie wymierają. Ta masa jest złożona z ludzi nie zainteresowanych polityką polonijną, i oni też sami to mówią, ale niekiedy, na chwile są w stanie się nią zainteresować na wezwanie ludzi, do których mają zaufanie. Może chcą spłacić w ten sposób dług swego pochodzenia, może udowodnić że te ich korzenie nie są takie złe, bo potrafią się przyzwoicie zachować?

I dlatego, chociaż jesteśmy grupą bardzo nieliczną, jesteśmy rozpoznawani jako grupa polityczna, która się nie skompromitowała w Polsce. W Polsce jesteśmy pewniej bardziej skompromitowani własnie przez to, że wyjechaliśmy, ale nie tutaj. Oni tego tak nie odbierają.

- To jest przeciez powtorzenie ich losu.

- Tak, a z drugiej strony niesiemy dla nich pewną szanse tworzenia ośrodka opiniodawczego o Polsce, która jest zupełnie inna od tej, którą oni znali. I oni też zdają sobie z tego sprawe.

- A jakie są wyniki chicagowskiego spotkania? Wtedy, zima, było tak przyjemnie, ciepło i sympatycznie, a teraz...?

- A teraz widze to bardziej szaro niż 31 stycznia, kiedy była euforia pierwszego spotkania, tego ze coś się udało osiągnąć. Jakby nie bardzo ludzie, którzy się rozjechali, mieli ochote czynnego działania. Nie ma reakcji, nie ma dalszego ciągu. Zresztą trzeba kontynuować wokół czegoś, nie da się tak po prostu zadzwonić i spytać: co słychać? Ludzie są ciągle jeszcze bardzo uwikłani, to dopiero trzy lata srednio, jak tu jesteśmy. Są gotowi na jakiś skok, ale jeszcze nie na regularne działanie. I ja sobie z tego zdaję sprawe.

Dlatego musimy stworzyć pismo polityczne, i to pismo w języku angielskim. Tak długo jak będziemy rozmawiali między sobą w naszym "egzotycznym narzeczu", tak długo będziemy opowiadali bzdury, które nawet nie mają szansy być zrecenzowane przez obiektywnego obserwatora. Głupota i

prywata, nie mające nic wspólnego ze sprawą, ukrywają się często pod płaszczykiem naszego lokalnego języka. Pismo, które tworzyłoby środowisko, które skupiałoby potencjał ludzki byłoby niezwykle ważne. Paryska KULTURA dokonała takiego cudu w języku polskim, my musimy to zrobić w jezyku angielskim. To jest nasze ogromne zadanie i przekonaliśmy do tego Kongres Polonii Amerykańskiej.

Kongres wogóle odgrywa tu wielką role, jest instytucją do której formalnie złożyliśmy akces, zawarliśmy z nią przymierze. Na razie ta instytucja chyba troszeczke nas zawiodła, może raczej - nie spełniła naszych oczekiwan.

- Dlaczego?

- Umawialiśmy się, że jeżeli bedą jakieś ważne sprawy dotyczące Polski, to będziemy o nich informowani, będziemy wyrażać opinie, coś organizować. I tak nie jest.

Były dwie okazje, które przywództwo Polonii nie bardzo potrafiło wykorzystać dla pozyskania nas, dla zachowania jedności, o której tyle mówią i za której brak dostają ciągle w tyłek od amerykańskiej administracji. Bo to przecież Mazewski ciągle słyszy w Waszyngtonie:-Pan nie reprezentuje Polonii, bo pan mówi jedno, a profesor Krynski-drugie.

- Profesor Krynski? Kto to ?

- Człowiek związany z "Pomostem" , pracujący na Duke University w North Carolina, który często bywa w Waszyngtonie i ma tam dobre kontakty. I administracji jest wygodniej raz sluchać Mazewskiego, a raz Krynskiego, stosownie do ićh własnej polityki. I dlatego jeżeli Mazewski nie potrafi wzmacniać naszego zobowiązania w stosunku do nich, to jako polityk tylko na tym traci.

Było spotkanie z Polonią w Białym Domu, na które mieliśmy być zaproszeni: Waliszewski, Mroczyk i ja. W ostatniej chwili to zostało cofnięte. Ja byłem nawet z tego zadowolony, bo chodziło o odwołanie sankcji amerykańskich, czyli sprawe bardzo kontrowersyjną. Było następne spotkanie, tym razem Komitetu Wykonawczego Kongresu Polonii, na które tez nas nie zaprosili. Członkowie komitetu nawet pytali: Co jest z tymi nowymi? Gdzie oni są? I nie bardzo było wiadomo dlaczego nas nie ma.

I to mnie bardzo martwi, bo to znaczy, że oni nie rozumieją

zasad gry, nie przyjmują do wiadomości, że średnia wieku ludzi zainteresowanych sprawami politycznymi jest wśród Polonii po siedemdziesiątce i jeżeli ktoś tego nie przejmie, to w ciągu kilku lat przestaną istnieć ich organizacje.
Ale mime wszystko jestem optymistą, bo jednocześnie jest wśród przywodców Polonii wielu ludzi, którzy doskonale rozumieją potrzebe zmiany warty, potrzebe przyciągnięcia nas. Argumentują całkiem racjonalnie, će my sami, nawet tworząc solidarnośćiowe, kombatanckie organizacje nie jesteśmy w stanie wywrzec żadnego wpływu na polityke amerykańską, bo tu liczą się głosy, głosy wyborców.

- Znają to z własnego doświadczenia, z organizacji kombatantów drugiej wojny swiatowej...

- No własnie, i ja podzielam to zdanie. Dlatego w Kongres Polonii Amerykanskiej musimy wejść, to jest nasz wspólny interes.

- Nasz - czyli starej Polonii i kogo? Działa w Chicago Wspólnota Rozproszonych Członków SOLIDARNOśCI. Czy o nią chodzi?

Tak, to jest organizacja, którą założyliśmy tutaj na początku 1985 roku wyłącznie po to, żeby pomagać kolegom w kraju. Celem pośrednim był wzajemny kontakt, podtrzymywanie więzi. Niektórych takie postawienie sprawy przerażało, było za mało ambitne, bo wiekszość organizacji tutaj chce Polski od morza do morza i zapowiada, że będzie bić Sowieta. A tutaj naraz na wolnej ziemi, gdzie przecież można już mówić wszystko i głośno, taki cieniutki głosik, że tylko pomóc kolegom i utrzymać więź.

Ale ja myślę, że to właśnie bardzo się nam udało, bo ludzie którzy wstepują do nas nie liczą na żadne wielkie osiągnięcia, tu i zaraz. Zdają sie na płacenie składek bez żadnej satysfakcji.

- Pomoc kolegom w kraju może być źródłem wielkiej satysfakcji...

- Tak, oczywiście, ale zauważ, że najczęściej organizacje funkcjonują dobrze wtedy kiedy jest szybki efekt, natomiast u nas tego nie ma, nie ma widocznych rezultatów. Ale dzięki temu mamy fantastycznych ludzi, którzy - jak się okazało potrafią być solidarni tu, w Ameryce. Z tego zrobiło się wzajemne pomaganie. Niedawno miałem telefon gdzieś z New

Mexico, że brat przyjeżdza do Nowego Jorku i nie zna ani słowa po angielsku, więc czy możemy coś zrobic. Ja nigdy nie byłem w Nowym Jorku, ale podałem telefon człowieka ze Wspólnoty i wiem, że sprawa została załatwiona. To jest niezwykle ważne w Ameryce: mieć grupę ludzi, na których można polegać.

- Albo mieć pieniądze, za które Hertz czy inny Rent a car podstawi samochód na lotnisko i zawiezie do Holiday Inn...

- Oczywiście, ale my przecież jeszcze tych pieniędzy nie mamy, dlatego próbujemy odtworzyć w Ameryce mechanizmy, które tu nie działają. I to jest wielka satysfakacja, kiedy się udaje.

- A pomoc kolegom w kraju?

- Wysłaliśmy siedem czy osiem tysięcy dolarów, głównie do Krakowa, Wrocławia i Lublina, bo wydawało nam się, że tam sporo się dzieje, a mniej dociera pomocy z Europy, z kanałów oficjalnej SOLIDARNOŚĆI. Oczywiście, osobiste znajomości także odegrały role. I uważam, że jak na wysokość miesięcznej składki - 10 dolarów - to nasze wyniki nie są złe, tym bardziej, że nie zbieramy pod kościołami i nie domagamy sie ofiar przez polskie radiostacje.

- Kiedy wasz głos, głos emigracji solidarnościowej stanie się głosem słyszanym i słuchanym w Ameryce?

- Żeby do tego dojść musimy zacząć być cenni dla amerykańskiego odbiorcy. Oni muszą nas zauważyć jako grupe posiadającą wartosci, na których im zależy. To nie jest takie proste, bo nam w Polsce wydaje sie, że SOLIDARNOŚĆ jest czymś obiektywnie atrakcyjnym, a w Stanach Zjednoczonych jest mnóstwo nieporozumień wokół SOLIDARNOŚĆI, wynikających głównie z tego, że związki zawodowe są tu szalenie niepopularne. Jeżeli SOLIDARNOŚĆ jest przedstawiana jako związek zawodowy to natychmiast zamyka się przed nią mnóstwo drzwi. One otwierają się w siedzibach związków zawodowych, ale to jest w tej chwili bardzo niewielki fragment tego swiata.

Dlatego najpierw musimy przekonać starą Polonie, która działa na zasadzie uwiarygodniania nas.

- Oni was uwiarygodniają?

- Tak, bo oni są ci tutejsi, swoi, z których głosami każda administracja się liczy. I tylko oni mogą nas uwiarygodnić, otworzyć nam wiele drzwi. Możemy je także otwierać samodzielnie, tylko wtedy natychmiast narażamy się na to, ze stara polonia będzie probowała je zamykać w obawie przed utratą swojego monopolu.

- Ale czy ty nie walczysz z duchami? Przeciez nazwa SOLIDARNOŚĆ jest wypisana na siedzibie Kongresu Polonii, dla polskich Amerykanów to jest dziś taki sam jednoczący znak jak dawniej orzeł w koronie?

- Do Boga, Honoru i Ojczyzny dołożyli SOLIDARNOŚĆ, ale za tym nic się nie kryje, nie ma zrozumienia ani dla SOLIDARNOŚCI, ani dla jej ludzi, którzy tu przyjechali. SOLIDARNOŚĆ dla polaków w Ameryce była ogromną szansą ponieważ na nowo pokazała, że Polska jest ważnym krajem świata.

- Dlatego spytałem kto kogo uwiarygadnia, bo przecież to SOLIDARNOŚĆ ich tutaj uwiarygodniła ...

- Na pewno, bo dodała im argumentów, powiększyła polskie drzewo genealogiczne, dowiodła ze nie są z nieprawego łoża. Ameryka dowiedziała się, że Polacy to wielki, wspaniały naród, który stać na stworzenie takiego ruchu. Oni nie chcieli wnikać w to, że były w nim elementy socjalistyczne, że nasz statut mówil o kierowniczej rolo partii komunistycznej. Ważne było, że to jest niezależny ruch, stworzony przez naród i dla narodu, i że jest tak rozpoznawany na świecie.

Dla nich to była ogromna szansa, tak jak dla Zydów Izrael. Każdy amerykański Żyd płaci na Izrael (w sumie trzy miliardy dolarów rocznie), każdy naraża sie dla sprawy Izraela, choć wiadomo, że nie jest ona wcaletak popularna wśród Amerykanów. A dlaczego tak się dzieje? Bo ranga Żyda od czasu, kiedy istnieje niezależne państwo żydowskie, wzrosła niepomiernie. To już nie jest Żydek, to jest Żyd który ma alternatywe, ma swój kraj. Tego argumentu używał premier Szamir, przeciwstawiając się traktowaniu przez Amerykę radzieckich Żydow jak uchodzców. Zydzi po dwoch tysiącach lat mają swój kraj, mają gdzie wrócić. I to jest paradoks, bo amerykańscy Żydzi wcale nie chcą jechać do Izraela, tak samo jak Mazewski nie chce wrócić do polski, chociaż uważa, że jest wielkim Polakiem.

Wiesz, ze sentyment pro-polski bardzo wzrosł tu przed wojną

poniewaz w Chicago był polski konsulat, można było zobaczyć polską flage z orłem w *koronie,* ambasador polski rozmawiał z amerykańskim prezydentem? Ambasador niezależnego państwa wysłany przez swój legalny rząd, a nie jakiś kundel bezpański, samozwaniec. To było niezwykle ważne i jest nadal. Każde potwierdzenie tego, że polska jest troche inna niż cała Wschodnia Europa, utwierdza polonie w przekonaniu, że oni są z ważnego kraju.

- Leopold Tyrmand powiedział gorzko o Polonii, że nie potrafiła wykorzystać ani swegokatolicyzmu, ani antykomunizmu. Kiedy pojawia się wasi Brzezinscy i Pipesowie, kształtujący pro-polską polityke Ameryki?

- Taki proces wymaga przede wszystkim czasu, ale on już się odbywa. To już nie są czasy miedzywojenne. Masz niedawny przykład: Związek Narodowy Polski zrezygnował z finansowania collegu, do którego nie chodzili już żadni Polacy, chociaż był to jedyny narodowy, polski college. Te pieniądze mają pójść na stypendia dla ludzi w dobrych uczelniach. To jest bardzo ważne, to świadczy równiez o odejściu od sentymentów na rzecz praktycznego działania dla przyszłości. Są nasze dzieci, kształcone w niezłych szkołach, wiele z nich swietnie sobie radzących. Są ich rodzice nie godzący się na chodzenie starym szlakiem. Ja mieszkam ponad stan, ale dzięki temu moje dzieci rozwijają się normalnie. I tak robią właściwie wszyscy, których znam, odejmują sobie od ust, ale liczą na sukces dzieci.

A z drugiej strony nasza szansa, która zaczyna już się realizować, polega na popularyzowaniu idei SOLIDARNOŚCI, hasła SOLIDARNOŚCI i naszego sukcesu moralnego, naszej nowej wiarygodnosci wśród narodów Europy Wschodniej. To, co proponują koledzy z Kanady: "black ribbon day" na 23 śierpnia, rocznice paktu Ribbentrop-Molotow, chcą robić właśnie z nami, z najmłodszą i najbardziej dynamiczną emigracją.

Rozmawiałem z Heleną Ratuszyńską, niedawno wypuszczona na emigracje z więzienia w Związku Radzieckim poetka, i kiedy powiedziałem, że ona jest Ukrainką, to się oburzyła. Ona czuje się Polką, choć po polsku nie mówi. To, że jej dziadowie czy pradziadowie zostali zesłani na Syberie i nie pozwolono im później wrócić do Polski, i że przymusowo jej językiem jest rosyjski, wcale nie znaczy, ze ona nie nie jest Polką. Ona jest Polką! To są jej słowa.

To jest wspaniały przykład jak nasze narody mogą mieć postacie wspólne, które są bohaterami i dla Rosjan, i dla Ukraińców, i dla Polaków. My oczywiście się z nią spotkamy, przyjmiemy ją, bo to jest także nasza szansa, w odróżnieniu od emigracji powojennej, ciągle rozdrapującej narodowe, wojenne rany.

Myślę, że SOLIDARNOŚĆ jest szansa dla ludzi, którzy są w takiej sytuacji jak Polacy tutaj. Tworzenie koalicji grup narodowościowych byłoby wielką sprawą, byłaby to wielka siła nacisku na władze amerykańskie, rzeczywiste lobby, dowodzące że nie chodzi tutaj o partykularny interes Polaków, Czechów czy Ukraińców, ale że Europa Wschodnia nie może dłużej wyglądać tak idiotycznie jak teraz.

- Czy myślisz o powrocie do kraju? Czy rozważałeś to kiedykolwiek?

- Kiedy przyjechałem tutaj, to takie pomysły przychodziły mi do głowy. Dlatego poszedłem na Uniwersytet. Ale jak patrze na to od strony rodzinnej, to widze że to jest niemożliwe. Dzieci adaptują się wspaniale do tego lepszego świata. Żona ciężko pracuje, ale wydaje się być o wiele spokojniejsza niż tam.

- Co sądzisz o tym, co dzieje się teraz w polsce? O szansach tych, którzy wyszli na wolność z więzien?

- Sądze na podstawie tego, co moge tutaj przeczytac, patrze przez amerykańskie okulary, a wiedza bezpośrednia pochodzi od osób ze środowisk takich jak moje Opole, gdzie nie dzieje się za wiele, bo takie jest to miasto.

Myślę, że w kraju jest bardzo ciężko. Pisał o tym w "Kulturze" Kulerski, wcześniej Romaszewski. Wydaje mi się, że w stosunku do tego jak pozostawiłem Polske, to wszystko jest dużo bardziej skomplikowane. Możliwości jest więcej, ale to wcale nie znaczy, że działanie jest bardziej efektywne.

Z drugiej strony uważam, że to co się w Polsce dzieje nie może się nie powieźć, że SOLIDARNOŚCI grozi w ostatecznym rachunku tylko zwycięstwo. Decyduje o tym metoda. Przyjmując taką metode walki, jaką przyjeła SOLIDARNOŚĆ nie można przegrać. Przecież władzy nie udało się przez te lata niczego załatwić, nie kupili, może poza emerytami, żadnej

grupy społecznej. Skoro nie kupili dotychczas - to kiedy kupią? Jak porównamy te lata z powojennymi, to w pięćdziesiątym roku oni mogli już przystępować do pełnej stalinizacji życia. A tu w pięć lat po stanie wojennym o żadnej pacyfikacji nie ma mowy.

- I dzięki Bogu...